

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

— Staram się, ażeby mój dom był dla wszystkich przyjemny, dom to gniazdko rodzinne, to chluba dobrej gospodyni.

— Tak jest i zrobiłaś go takim Paulisiu... A drogie też komorne?

— Dawniej płaciliśmy tysiąc dwieście koron, ale od czasu, gdy Królewiacy pchają się do nas — westchnęła — płacimy za pięć pokoi tysiąc siedemset koron.

— Ileż to na nasze pieniądze?

— Około sześciuset osiemdziesiąt rubli — wyjaśnił Roman.

— O, drogo! U nas, w Warszawie, tańsze mieszkania — zauważyła Czajkowska — i nam nie potrzeba tak obszernego.

— A my musimy mieć takie — mówiła nie bez przyjemności radczyni — Klimeczka musi mieć swój pokój, bo śpi lekko, lada co ją budzi. Władzio uczy się do egzaminu i potrzebuje spokoju, no, nasz sypialny, jadalny i salon.

Wszczęła się ożywiona rozmowa o mieszkaniach, a gospodyni pouczała:

— Nie wypada ci, Sabinko, gnieść się w dwóch pokojach, jeśli dbasz o opinię. U nas tylko biedota ciśnie się w dwóch pokojach. Ty i Irena musicie mieć sypialnię, Roman potrzebuje kąta swego, a gdzież jadalny i do przyjęcia gości?

— Nie myślimy zawierać znajomości, nie mamy na to.

— Tak się mówi, ale choćby dla samej Ireny, panny na wydaniu, nie zamkniesz drzwi na klucz. Tu nie odludzie, to przecież Kraków, stolica duchowa Polski, jak piszą dzienniki.

Sam nawet radca uznał za stosowne wypowiedzieć, wprawdzie stare, ale niemniej mądre słowa:

— Zważ, Sabinko: jak cię widzą, tak cię piszą. Jeśli zamieszkaś gdzieś w oficynie, w dwóch ciupach, zerwiesz tem samem ze sferą, do której należysz z rodu i jako moja cioteczna siostra, pomijając inne przykrości, na które się narażasz. Paulisia ma rację.

Od czasu do czasu, radca spoglądał nie bez niepokoju na zegar wiszący. Spostrzegł to Roman i rzekł do matki.

— Już siódma, spóźnimy się.

Pani Czajkowska, domyślając się znaczenia tych słów, wstała.

— Zostań, Sabinko, dlaczego się tak spieszysz? — zawołała gospodyni, że źle ukrywanem zadowoleniem.

— W waszem przyjemnem towarzystwie zapomniałam, że obiecałam być w hotelu.

— Jaka szkoda! A może ty, Irenko, zostaniesz? Klimcia ma tak mało rówieśnic, nudzi się.

— Nie, ciociu, muszę iść.

— Prosiłabym cię, Jasiu, ażebyś był tak dobry i poradził nam w sprawie bardzo ważnej. Możebyś zaszedł do nas, do hotelu, przy wolnym czasie — prosiła Czajkowska.

— Hm... mam mało czasu wogóle — spojrzał na żonę, która oczyma dała mu znak, ażeby zgodził się — ale radą zawsze chętnie ci służę. Rozumiem przecież, co to znaczy być obcą w wielkiem mieście. Zatem, kiedy mam przyjść?

— Kiedy zechcesz.

— Jutro, około siódmej, będę u ciebie w hotelu.

Gdy goście wyszli, gospodyni poczęła starannie chować resztki, pozostałe z podwieczorku, mówiąc z ożywieniem do siedzącej córki i męża, palącego cygaro.

— No, chwała Bogu, pozbyliśmy się wizyty... ale co ty mówiłaś, że Irena ładna, ja wcale tego nie widzę; a ty, Klimeczko?

— Brzydka nie jest, ale ma ruchy zbyt swobodne, powiem ordynarne i rzuca oczyma.

— O, musi być kokietka, jak każda Warszawianka — uzupełniła matka — ty, Klimeczko, doskonale obserwujesz. Uważałaś, jak wystawiała nogę, siedząc z tobą na kanapie? Skończona z niej kokietka.

— Ale powiedzcie, kogo miała ona kokietować? — zaśmiał się radca — przecież nie mnie?

— Ach, jacy ci mężczyźni naiwni — zawołała radczyni. — Czy myślisz, że kokietuje się tylko mężczyzn?

— Ojculkul! sztuka dla sztuki — uśmiechnęła się Klimcia.

— A zauważyłaś to ich uczesanie?! I to mają być Warszawianki?!

— Tak, mameczko; a tyle się mówi o ich elegancyi — skrzywiła się pogardliwie Klimcia. — Jeszcze sama Czajkowska przynajmniej grzeczna, uważna, cicha, ale Irena, hałaśliwa, impertynentka i zdaje się jej, że połknęła wszystkie mądrości.

— Bardzo się cieszę — mówiła radczyni, składając obrus — że ty, Jasiu, utarłeś im nosa; w zupełności zasłużyli.

— Ja!? — zdziwił się.

— Tylko nie udawaj — zaśmiała się. — Im się zdawało, że ten Roman, to bohater, męczennik narodowy, bo został wypędzony...

— Każdemu z Królewaków tak się zdaje — do rzuciła córka.

— A ty, Jasiu, pokazałeś im ich głupotę, to było doskonałe — mówiła, śmiejąc się — Sabina nie wiedziała co mówić, Irena aż bladła, a Roman zgłupiał zupełnie. O, taka zimna kąpiel przydałaby się wszystkim Królewakom.

— No, bądźcie zdrowe, pójdę już — rzekł, spoglądając na zegarek.

— Zaczekaj, klub ci nie ucieknie, a mógłbyś też czasem pogadać z żoną i córką, czy ci to tak nie miłe?

— Ależ nie, Paulisiu, tylko po całodziennnej pracy należy mi się odpoczynek.

— O, już ty się napracujesz, — drwiła żona — idziesz do biura o dziesiątej, gawędzisz, bawisz się, rozmawiasz do pierwszej, potem obiad, drzemka, spacer i klub. Okropnie się napracujesz!?

— Ileż razy muszę popołudniu iść do biura — bronił się mąż.

— No, nie mówmy o tem, wiem ja, gdzie ty chodzisz — mówiła nadąsana — pewno na Łobzowskiej są biura twoje.

Radca widocznie nie miał czystego sumienia, bo powiedział dobrotliwie:

— Ot, słuchasz plotek, a mnie ani się śni chodzić gdzieś.

— Więc zostań i poświęć chwilkę czasu dla nas.

— A dobrze — rzekł, skrzywił się jednak i zaczął wybierać suchsze cygara z pudełka.

— Ty zawsze musisz mi zepsuć każdą przyjemność — narzekała żona — tak było wesoło! O czem to mówiliśmy?... Aha, o Czajkowskich. Więc oni myślą tu osiąść, pewno myślą, że my ich wprowadzimy w nasze towarzystwo, co, Jasiu?

— Nie wiem...

— Ale ja wiem i nic z tego...

— Czy zauważyła mameczka, co ta Irena powiedziała?

— Tyle impertynencji nagadała, że nie wiem, o której Klimeczko mówisz?

— A o tym złobie rządowym, to była wyraźna aluzja do służby rządowej.

— O, ziółko z niej! A ty, Klimeczko, tak odbijasz od niej układem, zachowaniem, taktem, że serce mi rośnie. Z dwojga złego, wolę już Romana, przynajmniej cichy i skromny.

— Mameczko, cicha woda brzegi rwie — zaśmiała się córka — ja mu nie dowierzam.

— I ja nie bardzo — dodał radca — układny, grzeczny, a z robotnikami za pan brat; pewno ich buntował, a to jego wypędzenie z Królestwa całego, a nawet państwa, daje dużo do myślenia.

— Może jednak on nie zawinił tak bardzo — powiedziała żona — raczej stosunki są temu winne.

— Jest w tem, co mówisz, pewna racja. Pomyśl tylko: ja po trzydziestu latach ciężkiej pracy, mając studia prawne, doprowadziłem do tej pensyi, którą on, smarkacz, miał w dwudziestym ósmym roku i to bez prawnych egzaminów. Czy nie mogło się młokosowi w głowie przewrócić?

— No, jak jakiemu, bo nasz Władzio byłby się napewno szanował i rozumiałby swój obowiązek.

— Już muszę iść — rzekł radca stanowczo, zapinając tużurek.

— Idź już, widzę, że cię przypiliło, a kiedy wrócisz?

— Jak zwykle.

— To znaczy o jedenastej, dwunastej, czy później? — zadzwiała.

— Zwykle, to znaczy przed dziesiątą — objaśnił z powagą.

— Czy zostawić ci kolację?

— Nie... wiesz, że na noc nie jadam, ale tak trochę szynki, bułki, możesz zostawić.

Ucałował wreszcie rękę żony i poszedł do przedpokoju.

V.

Pani Czajkowska, czynna i energiczna niewiasta, która prowadziła sama gospodarstwo domowe i utrzy-

mywała w porządku kasę wspólną, zaniepokojona drożyzną hotelu, postanowiła wyszukać mieszkanie w czasie jak najkrótszym i tego samego jeszcze wieczora, po wizycie u Terlikowskich, poleciła numerowemu kupienie wszystkich dzienników, tak wieczornych, jak i porannych.

Przyniósł żądane dzienniki wieczorem, więc będąc sama, zabrała się do czytania, naturalnie nie artykułów politycznych, ale ogłoszeń. Przyzwyczajona do warszawskich dzienników, była pewna, że i w krakowskich znajdzie dział ogłoszeń mieszkaniowych. Sumiennie przejrzała wszystkie ogłoszenia, ale nie znalazła ani jednego o mieszkaniach do wynajęcia.

To ją zaniepokoiło, przemknęło jej w myśl, że możliwy jest brak zupełny mieszkań, z powodu zjazdu Królewaków, bo przecież właściciel kamienicy, dbały o wynajęcie lokalu, pustką stojącego, ogłosiłby natychmiast w dziennikach.

Tymczasem wszedł numerowy, więc Czajkowska spytała uprzejmie:

— Proszę was, czy tu są mieszkania do wynajęcia?

— Czy o hotelu mówi jasna pani?

— Nie... ale wogóle, w mieście?

— Dlaczego nie? Przecież to przed świętym Michałem, mieszkań dużo stoi pustką.

— Dużo? — ucieszyła się.

— Ojej, można nająć, aby tylko dobrze zapłacić, bo to teraz, proszę łaski jasnej pani, kamienicznicy wysrubowali ceny, niech ręka Boska broni... kto może, to wynosi się z miasta.

— Wyjeżdżają?

— Ii, nie; ale na Krowoderską, Zabłą, Czystą, albo na Topolową, Grzegórzki...

— A dlaczego niema ogłoszeń w dziennikach? — wskazała na kilka gazet.

— Bo i po co? — uśmiechnął się — za ogłoszenie trzeba zapłacić, a kamienicznik każdy skąpi grosza, że nie dać Boże.

— Więc w jaki sposób szuka się tutaj mieszkania?

— Komu trzeba, ten albo sam idzie po ulicach i patrzy na karty wywieszone, albo najmuje ekspresa; mamy takiego przed hotelem i ten przyniesie wiadomość, gdzie jest wolne mieszkanie.

— Czyż nie szkoda czasu na szukanie? — zarzuciła Warszawianka.

— Ee, proszę jasnej pani, u nas każdy ma czas, tylko nie służący, ten musi być zawsze na zawołanie.

Po powrocie Ireny i Romana, matka opowiedziała im o dziennikach i o swej rozmowie z numerowym.

— A wie mama — zaśmiał się Roman — chociaż nie znam Krakowa, wiem więcej od numerowego. Na jednej z kamienic widziałem spis mieszkań do wynajęcia, chciałem nawet wypisać nazwiska ulic i numerów, ale nie miałem przy sobie notatnika.

— I trafisz do tej kamienicy? — spytała z żywością.

— Naturalnie.

— Jakże to dobrze — uśmiechnęła się — bo jutro wybierałam się na poszukiwanie, co byłoby męczącym, zwłaszcza dla nieznającej miasta.

— W moim pokoju mam plan Krakowa, to nam ułatwi.

Nazajutrz rano przyniósł Roman spis ośmiu mieszkań do wynajęcia, w rozmiarach żądanych, po trzy i cztery pokoje.

Zaraz po śniadaniu, matka z Romanem wybrali się, z planem w ręku, na poszukiwania mieszkania. Przy pierwszym wskazanym numerze objaśnił ich stróż kamienicy, że owo mieszkanie zostało wynajęte przed trzema tygodniami.

Z ośmiu wskazanych mieszkań były dwa do wynajęcia, lecz żądana cena wydała im się za zbyt wysoką. Za trzy pokoje na drugim piętrze, bez łazienki i pasażu, zaceniono miesięcznie sto siedemdziesiąt koron. Obydwa mieszkania dosyć brudne, z niewygodnym rozkładem, natomiast gospodarz zezwalał uprzejmie odnowić mieszkanie na ich koszt.

Po tem doświadczeniu, matka, zwolniwszy Irenę i Romana, sama udała się na poszukiwanie, odczytując każdą kartę wywieszoną przy bramie. Po dwóch dniach pilnych poszukiwań, przyszła wieczorem do hotelu i oznajmiła zadowolona:

— Nareszcie znalazłam mieszkanie!

— Jak to dobrze — powiedziała Irena ze współczuciem — mama tak się namęczyła. A jakie?

— Trzy pokoje na pierwszym piętrze z kuchnią, trochę brudne i niskie, ale można będzie odczyścić.

— A czynsz, mam? — spytał Roman.

— Sto dwadzieścia koron miesięcznie.

— No, niezbyt drogie, a łazienka.

— Niema... Widziałam może ze trzydzieści mie-